

Uczucie  
& silniejsze  
o strachu

MARC LEVY



# Prolog

Lotnisko w Bombaju, 23 stycznia 1966 roku, trzecia rano. Ostatni pasażerowie lotu Air India 101 idą po płycie lotniska ku schodkom prowadzącym na pokład boeinga 707. W pustej sali odlotów dwóch mężczyzn stoi obok siebie z twarzami zwróconymi w stronę szyb.

– Co jest w tej kopercie?

– Lepiej, żeby pan nie wiedział.

– Komu mam ją wręczyć?

– Podczas międzylądowania w Genewie usiądzie pan w barze, żeby się czegoś napić. Podejdzie do pana mężczyzna i zaproponuje gin z tonikiem.

– Drogi panie, ja nie piję alkoholu.

– No to nie będzie pan pił, popatrz pan sobie na szklankę. Mężczyzna przedstawi się jako Arnold Knopf. Nic więcej nie powinno pana interesować, a wiem, że zachowanie dyskrecji to pana specjalność.

– Nie za bardzo mi się podoba, że wysługuje się pan mną przy załatwianiu swoich ciemnych sprawek.

– Skąd pan wie, że chodzi o ciemne sprawy, drogi panie Adesh? – w głosie George’a Ashtona zabrzmiały nagle niezyczliwe nuty.

– Dobrze, ale teraz jesteśmy kwita. Po raz ostatni używa pan indyjskiej poczty dyplomatycznej do celów osobistych.

– Będziemy kwita dopiero wtedy, gdy ja o tym zdecyduję. A do pana wiadomości, nie ma nic osobistego w sprawie, do której pana angażuję. Proszę uważać i zdążyć na samolot, będę miał nieprzyjemności, jeśli znów z mojego powodu pańska podróż się opóźni... i niech pan skorzysta z okazji i wypocznie podczas lotu, nie wygląda pan najlepiej. Za kilka dni będzie pan uczestniczył w konferencji ONZ w Nowym Jorku. Szczęściarzem z pana, ja już nie mogę patrzeć na to wasze jedzenie, czasem śni mi się, że stoję na Madison Avenue i jem soczystego hot doga... Niech pan sobie zafunduje hot doga w moim imieniu.

– Nie jadam wieprzowiny, drogi panie.

– Czasem doprowadza mnie pan do rozpacz, Adesh. No, nic, życzę panu mimo wszystko przyjemnej podróży.

. . .

Adesh Shamal nigdy nie spotkał mężczyzny, który miał podejść do niego w barze na lotnisku w Genewie. Samolot wylądował najpierw w Delhi, a potem w Bejrucie, skąd wystartował o trzeciej nad ranem. Zepsuł się jeden z dwóch przyrządów do radionawigacji.

O 06:58:54 wieża kontrolna lotniska w Genewie poleciła kapitanowi, aby po tym, jak przeleci nad Mont Blanc, zszedł na poziom 190.

O 07:00:43 kapitan D'Souza zameldował, że właśnie minął szczyt góry i zaczyna schodzić do lądowania. Genewski kontroler ruchu lotniczego zareagował

natychmiast: samolot znajdował się jeszcze pięć mil od masywu górskiego, kapitan błędnie odczytał swoją pozycję! D'Souza potwierdził przyjęcie tej informacji o 07:01:06.

O 07:02:00, 24 stycznia 1966 roku znacznik lotu Air India 101 znieruchomiał, po czym znikł z ekranu monitora kontrolera ruchu lotniczego w Genewie.

Boeing 707 zwany *Kanczendzongą* uderzył w skały masywu Tournette na wysokości 4670 metrów nad poziomem morza. Z jedenastu członków załogi i stu sześciu pasażerów nie przeżył nikt.

Tak więc szesnaście lat po katastrofie *Malabar Princess* drugi samolot Air India rozbił się w tym samym miejscu o skały Mont Blanc.

# 1

*24 stycznia 2013*

W górach szalała wichura. Przerażające podmuchy wiatru wzbijały śnieg ze zboczy, tworząc wiry białej zamieci. Dwoje spiętych liną alpinistów nie było w stanie widzieć dalej niż na odległość wyciągniętej dłoni. Fatalna pogoda uniemożliwiała kontynuowanie wspinaczki.

Od dwóch godzin Shamir chciał wracać, ale Suzie uparła się, żeby iść naprzód, udając, że wycie wiatru zagłusza jego nawoływania do powrotu. Już wcześniej powinni się zatrzymać i schronić w jamie wykopanej w śniegu. Idąc tak powoli, nigdy nie dotrą do schroniska przed nocą. Shamirowi było zimno, twarz miał pokrytą szronem i niepokoiło go uczucie drętwienia w kończynach. Wspinaczka na dużych wysokościach szybko może przeistoczyć się w igranie ze śmiercią. Z górami nie można się zaprzyjaźnić, jest się tu intruzem i jeśli warunki stają się niebezpieczne, trzeba natychmiast się wycofać. Irytowało go, że Suzie lekceważy wszystko, czego ją nauczył, zanim zgodził się jej towarzyszyć.

Jednak na wysokości czterech tysięcy sześciuset metrów w środku burzy śnieżnej należy zachować spokój ducha,

Shamir więc, aby się opanować, zaczął przywoływać miłe wspomnienia.

Ostatniego lata pojechali z Suzie do Parku Narodowego Arapaho, żeby w ramach treningu wdrapać się na szczyt Grays. Ale w Kolorado warunki klimatyczne były nieporównywalne z tymi, które napotkali dzisiejszego wieczoru.

Wspinaczka na Grays stała się punktem zwrotnym w stosunkach między nimi. Po zejściu zatrzymali się w małym motelu w Georgetown i po raz pierwszy wzięli wspólny pokój. Hotel nie miał żadnego uroku, ale łóżko było wystarczająco duże, żeby zdecydowali się nie wstawać z niego przez całe dwa dni. Dwa dni i dwie noce, podczas których opatrywali rany, zadane im przez góry. Wystarczy czasem drobny gest świadczący o troskliwości czy krótkie spojrzenie, żeby człowiekowi wydało się, iż znalazł swojego idealnego partnera. Tego właśnie uczucia doznał Shamir podczas owej wyprawy.

Rok wcześniej Suzie zadzwoniła do drzwi jego mieszkania z rozbajającym uśmiechem. W okolicach Baltimore niewielu ludzi się uśmiecha.

– Podobno jest pan najlepszym nauczycielem wspinaczki w całym kraju! – powiedziała na dzień dobry.

– Nawet gdyby to była prawda, nie mam się czym chwalić, Maryland jest płaski jak pustynia! Najwyższy szczyt w tym stanie ma tysiąc kilka metrów, pięcioletnie dziecko może się nań wdrapać bez niczyjej pomocy!

– Przeczytałam na blogu o pana wspinaczkach...

– W czym mogę pani pomóc?

– Potrzebuję przewodnika i cierpliwego nauczyciela.

– Nie uważam się za najlepszego wspinacza w kraju, a poza tym nie jestem trenerem osobistym.

– Może ma pan rację, ale podziwiam pańską technikę i doceniam bezpośredniość.

Nie czekając na zaproszenie, Suzie weszła do salonu i zaczęła mu wyjaśniać powody swojej wizyty. Chciała w ciągu roku zdobyć doświadczenie we wspinaczce wysokogórskiej. Nigdy dotąd nie wspiniała się w wyższych górach.

– Skąd to nagłe zainteresowanie? – spytał Shamir.

– Jedni dostają powołanie do służby bożej, mnie wezwwały góry. Śnię o nich co noc. Widząc siebie wspinającą się po ośnieżonych zboczach w kompletnej ciszy, czuję prawdziwą ekstazę. Dlaczego mam nie zrealizować tych marzeń?

– Obydwie rzeczy nie wykluczają się wzajemnie – stwierdził Shamir, a widząc jej powątpiewający wyraz twarzy, dodał: – Mam na myśli powołanie do służby bożej i zew gór. Ale Bóg jest cichszy, w górach grzmi, szumi, a wycie wiatru czasami paraliżuje ze strachu.

– Do licha z ciszą! Kiedy moglibyśmy zacząć?

– Panno...

– Baker. Ale proszę mi mówić po imieniu – Suzie.

– Kiedy się wspinam, to właśnie po to, aby być samemu.

– Można być samemu we dwoje, ja nie mówię wiele.

– Nie można stać się doświadczonym wspinaczem w ciągu jednego roku, chyba że człowiek poświęci się temu całkowicie...

– Pan mnie nie zna. Kiedy zdecyduję się na coś, nic mnie nie zatrzyma. Nigdy nie będzie pan miał ucznia równie zmotywowanego jak ja.

Nauka wspinaczki stała się dla Suzie prawdziwą obsesją. Nie wiedziała, jak go namówić: powiedziała, że mu dobrze zapłaci, że będzie mógł lepiej żyć na co dzień, odnowić swój dom, który bardzo tego potrzebował. Shamir przerwał ten potok słów, dając jej to, co ona wzięła za pierwszą lekcję, a co było po prostu zwykłą radą. Gdy stoi się na skalistej ścianie, przede wszystkim należy zachować spokój, panować nad sobą i nad swoimi gestami. Dokładnie odwrotnie, niż robiła to ona.

Odprowadzając ją do drzwi, obiecał, że się zastanowi i z nią skontaktuje.

Kiedy zeszła ze schodów prowadzących na ganek, spytał ją, czemu wybrała właśnie jego. Oczekiwał szczerzej odpowiedzi, nie pochlebstwa.

Suzie odwróciła się i popatrzyła na niego przez dłuższą chwilę.

– Na blogu było pana zdjęcie. Spodobała mi się pana twarz, a ja zawsze podążam za intuicją – rzekła.

I odeszła.

. . .

Następnego dnia jednak wróciła. Chciała się dowiedzieć, co zdecydował. Zaparkowała samochód na platformie dźwigu w warsztacie, w którym pracował Shamir, i zasięgnąwszy języka u szefa, skierowała się zdecydowanym krokiem do kanału, w którym Shamir spuszczał olej z jakiegoś starego cadillaca.

– Czego pani tu szuka? – spytał, wycierając ręce o kombinezon.

– Jak pan uważa?

– Powiedziałem przecież, że się zastanowię i do pani



zadzwonię.

– Proponuję panu czterdzieści tysięcy dolarów za to, że mnie pan nauczy wspinaczki. Gdyby pracował pan ze mną w weekendy, osiem godzin dziennie, to wyniesie osiemset trzydzieści dwie godziny. Znam wspinaczy, którzy poszli w wysokie góry z mniejszym doświadczeniem. Czterdzieści dolców za godzinę – tyle zarabia internista. A będę panu płacić na koniec każdego tygodnia.

– Czym się pani zajmuje, panno Baker?

– Odbyłam bardzo długie i niepotrzebne studia, a potem pracowałam u pewnego antykwariusza, w każdym razie dopóki nie stał się zbyt nachalny. Teraz szukam swojej drogi.

– Inaczej mówiąc, jest pani rozpieszczoną jedynaczką, która nie wie, co zrobić z wolnym czasem. Niewiele mamy z sobą wspólnego.

– Sto lat temu to bogaci burżuje traktowali lekceważąco robotników, teraz jest odwrotnie – odcięła się Suzie.

Shamir nie ukończył studiów, bo nie miał pieniędzy. Suma, którą Suzie mu oferowała, mogła wiele zmienić w jego życiu. Jednak nie umiał powiedzieć, czy jej bezczelność i tupet podobały mu się, czy go irytowały.

– Nie mam żadnych uprzedzeń, panno Baker. Jestem zwykłym mechanikiem. Różni nas od siebie to, że ja muszę codziennie pracować, żeby zarobić na życie. Nie chciałbym, żeby szef mnie wyrzucił, bo zamiast wymienić olej w samochodzie, ucinam sobie pogawędki z ładną dziewczyną.

– Nie ucina pan sobie żadnych pogawędek, ale dzięki za komplement.

– Skontaktuję się z panią, kiedy podejmę decyzję –

powiedział Shamir i wrócił do pracy.

Decyzję podjął jeszcze tego samego wieczoru, wpatrzony w talerz w barze z fast foodem, w którym codziennie jadał kolację – kilka kroków od warsztatu. Zadzwoił do Suzie Baker i umówił się z nią w centrum sportowym na przedmieściach Baltimore w następną sobotę o ósmej.

Przez pół roku spędzali każdy weekend na betonowej ścianie wspinaczkowej. Po trzech miesiącach treningów Shamir zabrał Suzie w prawdziwe góry. Nie oszukiwała, jej determinacja zaskoczyła go. Nigdy nie była zmęczona. Kiedy obolałe członki dawały się jej tak we znaki, że kto inny dawno by zrezygnował, ona wczepiała się z jeszcze większą energią w skalną ścianę.

Gdy Shamir oznajmił, że jest gotowa stawić czoło prawdziwym górą i że zamierza zabrać ją, gdy tylko nadejdzie lato, na najwyższy szczyt Kolorado, Suzie była tak szczęśliwa, że zaprosiła go na kolację.

Nie licząc kilku kanapek zjedzonych podczas treningów, był to ich pierwszy posiłek we dwójkę. Podczas tego wieczoru, gdy Shamir opowiedział jej o sobie prawie wszystko, o tym, jak jego rodzice przyjechali do Ameryki, jak skromnie żyli, jak się poświęcali, żeby on mógł studiować, Suzie, o której wiedział jedynie, że mieszka w Bostonie i że na każdy weekend przyjeżdża, żeby z nim trenować, oznajmiła, że w przyszłym roku zamierza wspiąć się na Mont Blanc.

Shamir odbył próbę wejścia na Mont Blanc podczas podróży do Europy, na którą pozwoliło mu wygranie konkursu studenckiego lata wcześniej. Ale góry nie przyjęły

go serdecznie, musiał zawrócić kilka godzin drogi przed szczytem. Wspomnienie to było bardzo bolesne, pocieszał się tym, że i on, i jego towarzysze wrócili do schroniska cali i zdrowi. Mont Blanc często zabierał życie tym, którzy nie umieli się w porę wycofać.

– Gdy mówi pan o górach, to wygląda tak, jakby myślał pan, że góry mają duszę – powiedziała Suzie pod koniec kolacji.

– Każdy alpinista tak uważa, mam nadzieję, że pani również, przynajmniej od tej chwili.

– Wróciłby pan tam?

– Jeśli kiedyś zbiorę wystarczająco dużo pieniędzy, to tak.

– Mam dla pana nieuczciwą propozycję, Shamirze. Kiedy skończymy moje szkolenie, zabiorę pana z sobą.

Shamir uważał, że Suzie nie jest wystarczająco przygotowana, by wspinać się na Mont Blanc. Poza tym podróż byłaby zbyt droga. Podziękował jej i odmówił.

– Za mniej niż rok wejdę na Mont Blanc, z panem czy bez pana! – oświadczyła Suzie, wstając od stolika.

Następnego dnia po wycieczce do Kolorado, po tym, jak się pocałowali na szczycie Grays, Shamir przestał brać od Suzie pieniądze.

Przez następne pół roku Suzie męczyła go swoją nową obsesją, pragnieniem zdobycia najwyższego szczytu w Europie.

Jedyna kłótnia między nimi miała miejsce któregoś ranka w listopadzie. Wracając do domu, Shamir zastał Suzie siedzącą po turecku na dywanie w salonie, z mapą rozłożoną przed sobą. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, żeby rozpoznać kształt góry, po której z boku Suzie

pociągnęła czerwonym ołówkiem szlak wspinaczki.

– Nie jesteś jeszcze gotowa! – powtórzył kolejny raz. – Czy nigdy nie zdarzyło ci się zrezygnować z pomysłu, który sobie wbiłaś do głowy?

– Nigdy! – odparła z dumą, pokazując mu dwa bilety lotnicze. – Wyjeżdżamy w połowie stycznia.

Shamir miałby wątpliwości nawet co do wyjazdu w lecie, tak więc styczeń absolutnie nie wchodził w rachubę. Suzie podkreśliła, że w sezonie Mont Blanc będzie się roić od turystów. Chciała być na zboczu tylko z nim. Przez całe tygodnie analizowała trasę wspinaczki, znała jej każdy szczegół.

Shamir zdenerwował się. Na wysokości 4800 metrów ciśnienie atmosferyczne spada o połowę, co powoduje bóle głowy, słabość w nogach, mdłości i uczucie oszołomienia u wszystkich, którzy porywają się na wysokie góry bez wystarczającego przygotowania. Zima to był sezon wyłącznie dla doświadczonych alpinistów, a Suzie wiele jeszcze do tego poziomu brakowało.

Jednak dziewczyna się uparła.

– Przejdziemy przez szczyt Goûter i tamtędy dojdziemy do grani Bosses. Pierwszego dnia zaczniemy wspinaczkę od Nid d’Aigle. W ciągu sześciu, najwyżej ośmiu godzin powinniśmy dotrzeć do schroniska na Tête Rousse. O świcie dotrzemy do przełęczy Dôme, potem miniemy schronisko Vallot. Na wysokości czterech tysięcy trzystu sześćdziesięciu dwóch metrów znajdziemy się na tym samym poziomie co szczyt Grays (Suzie obiecała zawrócić w tym miejscu w razie złej pogody). Potem Deux Bosses... – mówiła dalej podekscytowana, wskazując na punkt na mapie zaznaczony czerwonym krzyżykiem. – W końcu

skalne zbocze Tournette i wierzchołek! Robimy sobie zdjęcie i schodzimy. W ten sposób szczyt, o którym zawsze marzyłeś, będzie twój!

– Nie tak, Suzie, nie mogę narażać cię na tyle niebezpieczeństw! A poza tym zorganizujemy wspinaczkę na Mont Blanc w dniu, w którym mnie będzie stać, żeby cię tam zabrać. Obiecuję ci. Z pewnością nie tej zimy, to byłoby samobójstwo.

Suzie nie ustępowała.

– A gdybym wtedy, kiedy pocałowałaś mnie po raz pierwszy na szczycie Grays, pomyślała sobie, że oświadczysz mi się na szczycie Mont Blanc? A gdyby dla mnie było najważniejsze na świecie, żebyś oświadczył mi się w styczniu? Czy to nie bardziej się liczy niż wszystkie twoje głupie prognozy pogody? Wszystko psujesz, Shamirze, chciałam...

– Niczego nie psuję... – wyszeptał. – Tak czy inaczej, zawsze postawisz na swoim. Zgoda, ale od tej chwili nie zostawię ci ani sekundy spokoju. Każdy moment musimy poświęcić na przygotowanie się do tego szaleństwa. Ta góra jest znacznie bardziej zdradliwa, niż się wydaje. A poza tym musisz przystosować się do panującego na jej zboczach mikroklimatu. Jeszcze nigdy nie przeżyłaś wichury na wysokościach.

Shamir pamiętał każde słowo, które wypowiedział u siebie, w ciepłym domu w Baltimore. Ostre uderzenia gradu boleśnie raniły mu twarz. We wzmagającym się wietrze ledwo widział znajdującą się o piętnaście metrów od niego Suzie.

Nie wolno było ulec strachowi, nie wolno było się

spocić; pot jest fatalny na wysokościach. Kropelki przyklejają się do skóry i zamieniają w kryształki lodu przy każdym najmniejszym spadku temperatury.

Suzie szła pierwsza, co jeszcze bardziej go niepokoiło, gdyż to on był instruktorem, a ona uczennicą. Ale dziewczyna za nic nie chciała zwolnić tempa i wyprzedziła go już godzinę temu. Schronisko Vallot stało się odległym wspomnieniem, a przecież tam powinni byli zawrócić. Już zapadł zmrok, gdy zdecydowali się iść dalej na tej niebezpiecznej wysokości.

Poprzez szarpaną wiatrem zasłonę śniegu wydało mu się, że Suzie macha rękami. Normalny dystans bezpieczeństwa między dwójką ludzi połączonych liną to piętnaście metrów, ale Suzie wreszcie zwolniła, tak więc Shamir postanowił złamać tę regułę i zbliżyć się do niej. Kiedy się zrównali, prosto do ucha wykrzyczała mu, że jest pewna, iż zauważyła skały Tournette. Gdyby udało im się tam dojść, schroniliby się pod skalną ścianą.

– Nie dojdziemy, za daleko! – wrzasnęła Shamir.

– Masz lepszy pomysł?! – Suzie pociągnęła za linę.

Shamir wzruszył ramionami i postanowił pójść pierwszy.

– Nie idź tak blisko mnie! – rozkazał, wbijając hak w ścianę.

Kiedy poczuł, że grunt ucieka mu spod nóg, wiedział, że jest za późno. Odwrócił się do Suzie, żeby ostrzec ją przed niebezpieczeństwem.

Lina się wyprężyła i Suzie poleciała w przód. Nie było takiej siły, która powstrzymałaby jej lot za Shamirem w przepaść, która otworzyła się nagle pod ich stopami.

Spadali po zboczu w straszliwym tempie, nie mogąc go wyhamować. Kombinezon Shamira podarł się i

zamarznięte krople szronu pocięły mu klatkę piersiową. Głowę uderzył w lód. Wydało mu się, że ktoś wymierzył mu pięścią cios prosto w twarz. Oślepiła go krew leżąca się z przeciętych łuków brwiowych. Nie mógł oddychać. Alpinieści, którzy wyszli cało z upadku w szczelinę lodowca, mówią, że czuli się jak wciągani w otchłań wód na tonącym statku. Shamir czuł się tak samo.

Nie udawało im się o nic zaczepić i wciąż spadali. Shamir wołał Suzie, ale odpowiadała mu cisza.

Lot jego zakończył się głuchym uderzeniem w zlodowaciały grunt, jakby góra, połykając go, chciała go unieszkodliwić.

Podniósł głowę i zobaczył, jak zwała się na niego biała masa. Potem nastąpiła cisza.